prof. dr hab. Longin Pastusiak

4 listopada 2008 roku odbyły się w Stanach Zjednoczonych wybory. Amerykanie wybrali 44-go prezydenta Stanów Zjednoczonych Baracka Obamę oraz wiceprezydenta kraju Joe Bidena, wybrali 111-ty Kongres USA, władze stanowe i lokalne. Wyborcy zajęli stanowisko wobec różnych spraw w licznych referendach stanowych i lokalnych. M. in. w trzech stanach, w tym w Kalifornii i na Florydzie wypowiedzieli się przeciw małżeństwom osób tej samej płci.
Kampania wyborcza 2007-2008 w Stanach Zjednoczonych pod wieloma względami była unikalna i bezprecedensowa.
Przede wszystkim była to najdłuższa kampania wyborcza w historii USA. Trwała prawie dwa lata, dokładnie 23 miesiące. Coraz częściej mówi się o potrzebie skrócenia kampanii wyborczych, ponieważ społeczeństwo jest coraz bardziej zmęczone wysłuchiwaniem tej samej retoryki przez tak długi czas, i coraz dłuższy czas.

Była to najdroższa kampania wyborcza w historii Stanów Zjednoczonych. Jeżeli uwzględnić wszystkie jej koszty na wszystkich szczeblach, to kandydaci wydali w sumie kilka miliardów dolarów. Charakterystyczne, że John McCain finansował swoją kampanię ze środków budżetowych, otrzymując dotację w wysokości 84 mln dolarów. W związku z tym miał ograniczenie w pozyskiwaniu pieniędzy ze środków prywatnych. Barack Obama natomiast zrezygnował z funduszu rządu federalnego, przez co miał swobodę w zdobywaniu funduszy od darczyńców. Obama jednak oświadczył, że nie przyjmie pieniędzy od lobbystów wielkich firm, nie będzie uzależniał się od wielkiego biznesu i zaapelował do wyborców o zasilenie jego funduszy wyborczych. I nie zawiódł się. Miliony Amerykanów często niewielkimi kwotami złożyli się na jego wysoki fundusz wyborczy, przekraczający 600 mln dolarów.
Wybory 2008 roku były rekordowe pod względem frekwencji. W głosowaniu wzięła udział największa liczba wyborców w historii Stanów Zjednoczonych, ponad 130 mln osób. Frekwencja wyniosła 63 proc., zrównując się z rekordowym rokiem 1960, kiedy rywalizowali ze sobą John F. Kennedy i Richard M. Nixon.
Kampania wyborcza 2007-2008 zaktywizowała całe środowiska, które dotąd nie angażowały się nadmiernie w proces wyborczy. Dotyczy to w szczególności młodego pokolenia Amerykanów do lat 30-tu, Afro-Amerykanów, Latynosów, a także kobiet. Nigdy dotąd tylu wolontariuszy nie poświęciło swojego czasu na rzecz kandydatów na prezydenta, co w ostatniej kampanii. Świadczy to, że w Stanach Zjednoczonych powstaje społeczeństwo obywatelskie.
Precedensem był wybór Afro-Amerykanina na najwyższy urząd. To świadczy o postępie tolerancji, jaki w ciągu ostatnich kilkudziesięciu latach dokonał się w społeczeństwie amerykańskim. Przed wyborami szeroko spekulowano, czy wystąpi w tych wyborach tzw. „czynnik Bradleya", to znaczy oficjalnie w sondażach Amerykanie odpowiadali pozytywnie z tzw. polityczną poprawnością, że nie mają uprzedzeń rasowych, a faktycznie, gdy udali się za kotarę w lokalu wyborczym, by zagłosować, mieli dać upust swojemu faktycznemu stosunkowi do murzyńskiego kandydata. Otóż nie zadziałał tzw. czynnik Bradleya, którego nazwa bierze się od Toma Bradleya, który był murzyńskim burmistrzem Los Angeles i w 1982 r. kandydował na gubernatora Kalifornii. Przed wyborami prowadził w sondażach, a jednak przegrał. Było to ćwierć wieku temu. A jednak w tegorocznych wyborach ten czynnik nie zadziałał w takim stopniu, aby pozbawić Obamę zwycięstwa. Badania wykazały, że tylko 17 proc. wyborców kierowało się w glosowaniu czynnikiem rasowym. Świadczy to o postępie tolerancji, z jakim mamy do czynienia w społeczeństwie amerykańskim. Obama wygrał w kilku stanach południowych: w Wirginii, w Północnej Karolinie i na Florydzie, gdzie uprzedzenia rasowe

występują silniej aniżeli w pozostałych regionach Ameryki. Zwycięstwo Baracka Obamy niewątpliwie przyczyni się do poprawy wizerunku Stanów Zjednoczonych w świecie. Wizerunek ten został w ostatnich latach mocno nadwyrężony m.in. wojną w Iraku., bombardowaniami ludności cywilnej w Afganistanie i Pakistanie, torturami, przetrzymywaniem więźniów bez sądu w bazie Guantanamo itp.

Rola kobiet w kampanii. Nigdy dotąd kobieta nie była tak blisko uzyskania nominacji na kandydata na prezydenta jednej z głównych partii, jak właśnie w tym roku. Hilary Clinton w początkowej fazie prawyborów do marca 2008 r. miała nawet przewagę nad Obamą. Zgubiła ją jednak pewność siebie, niedocenianie rywala i fakt, że prezentowała stary establishment Partii Demokratycznej. Wyborcy szukali w 2008 r. nowej twarzy w polityce, nie związanej z Waszyngtonem i gwarantującej zmiany w polityce wewnętrznej i zagranicznej USA. Tą nową twarzą był właśnie Barack Obama.

Kandydatura Hilary Clinton spowodowała niebywałe zaangażowanie elektoratu kobiecego w kampanii wyborczej i wysoki udział kobiet w głosowaniu. Hilary Clinton po przegranej na konwencji nominacyjnej, zaapelowała do kobiet, do swoich zwolenniczej, aby poparły Obamę. I Barack Obama w znacznym stopniu zawdzięcza swoje zwycięstwo prezydenckie właśnie kobietom. O ile mężczyźni byli prawie równo podzieleni w swoich głosach na Obamę i McCain'a, to kobiety w zdecydowanej większości (56 proc.) glosowały na Obamę. Ze znaczeniem elektoratu kobiecego liczył się McCain i Republikanie mianując kandydatem na wiceprezydenta Sarah Palin, licząc na pozyskanie głosów kobiet. Aktywna rola kobiet w wyborach 2008 r. zapewne spowoduje, że w przyszłości obie partie będą energiczniej zabiegać o pozyskanie elektoratu kobiecego.

I wreszcie jeszcze jedna istotna cecha tegorocznej kampanii wyborczej w USA. Między głównymi rywalami demokratą Obamą i republikaninem McCainem, istniały istotne, nie kosmetyczne różnice programowe. Społeczeństwo, które uważało w 90 proc., że sprawy toczą się w Stanach Zjednoczonych w złym kierunku, domagało się różnorodnych zmian w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Barack Obama uczynił „zmianę" („change") sztandarowym hasłem swojej kampanii wyborczej. Kiedy na wiecach wyborczych Obama pytał „czy możemy dokonać zmian", z kilkudziesięciu tysięcy gardeł wydobywał chóralny okrzyk: „Yes, we lan", „Tak, możemy".

John Mc Cain był symbolem niepopularnej republikańskiej administracji Busha. Choć unikał pokazywania się z Bushem, a nawet w niektórych sprawach odcinał się od jego polityki (np. w sprawie tortur, ochrony środowiska), to wyborcy uważali, że będzie kontynuatorem polityki Busha, który osiągnął dno swojej popularności. Zaledwie 22 proc. Amerykanów z aprobatą wyrażało się o sposobie sprawowania prezydentury przez George'a W. Busha.

Dlaczego Barack Obama wygrał wybory? Sądzę, że był bardziej wiarygodny dla wyborców w rozwiązaniu wszystkich ważniejszych problemów, trapiących dziś społeczeństwo amerykańskie, a przede wszystkim w wyprowadzeniu kraju z gospodarczo-finansowego dołka, w zapewnieniu dostępu do służby zdrowia (47 milionów Amerykanów nie posiada żadnego ubezpieczenia), w zakończeniu niepopularnej wojny w Iraku, w ułatwieniu dostępu do edukacji i przywróceniu prestiżu Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

Obama wielokrotnie powtarzał: głosując na mnie, wybieracie nadzieję, a nie obawę, wybieracie jedność społeczeństwa, a nie podziały, wybieracie zmianę, a nie kontynuację status quo.

Nie tylko Amerykanie, ale cały świat zastanawia się nad tym, jakie zmiany nastąpią w polityce wewnętrznej i zagranicznej Stanów Zjednoczonych po objęciu 20 stycznia 2009 roku władzy przez nową administrację. Zacznijmy od spraw wewnętrznych.

Nowy rząd amerykański będzie większą wagę przywiązywał do zagadnień ekonomicznych i społecznych, co znajdzie odbicie w budżecie federalnym. Amerykanie otrzymają większy dostęp do służby zdrowia, będzie większa pomoc dla nieuprzywilejowanych warstw społecznych w dostępie do edukacji, szczególnie do szkolnictwa wyższego, zmieni się polityka podatkowa. Obama cofnie najbogatszym Amerykanom te przywileje, których udzielił im Bush, wprowadzi ulgi podatkowe dla zarabiających poniżej 250 tys. dol. rocznie, czyli dla klasy średniej, to jest – jak mówi – dla 95 proc. Amerykanów. Nastąpi z pewnością redukcja importu paliw, bo jest on zwolennikiem energii ze źródeł odnawialnych. Zostanie utrzymane prawo do aborcji, które obowiązuje w USA od 1973 roku. Za zakazem aborcji opowiadał się John McCain.

Najbardziej kluczowa sprawą dla nowego prezydenta jest jednak obecny kryzys finansowy i uporanie się z nim. Amerykanie będą zmuszeni do zmiany stylu życia, bo dotychczas żyli ponad stan. Przeciętna amerykańska rodzina jest zadłużona na prawie 10 tys. dolarów. Teraz będą musieli zacisnąć pasa i mniej korzystać z kart kredytowych. Oni są zaskoczeni, zszokowani wręcz, że ten kryzys ich dotyczy, bo myśleli, że to się przytrafiło innym. Prawda jest taka, że kryzys dotyczy w największym stopniu właśnie Stanów Zjednoczonych. To jest wyzwanie dla nowego prezydenta.
Jeżeli chodzi o politykę zagraniczną przyszłej administracji Baracka Obamy, to można oczekiwać odejścia od tzw. unilateralizmu, praktykowanego przez Busha, czyli jednostronnego działania Waszyngtonu bez konsultacji z sojusznikami. Będzie większy szacunek dla prawa międzynarodowego i organizacji międzynarodowych. Obama uruchomi tzw. Soft Power w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, czyli wykorzystanie czynników gospodarczych, naukowych, kulturalnych i – co bardzo ważne – dyplomacji w umacnianiu pozycji USA na świecie. Tak zrobi w przeciwieństwie do tzw. hard power, czyli siły militarnej, którą tak chętnie posługiwał się prezydent Bush.
Obama nie ma żadnych zahamowań, żeby spotkać się i negocjować z adwersarzami Stanów Zjednoczonych, choć użycia siły nie wyklucza, ale jako ostatecznego środka nacisku. On nie jest takim absolutnym gołębiem, ale – jak mówi – gotów jest pojechać na Kubę czy spotkać się z prezydentem Iranu. Za prezydentury Obamy będzie też łatwo współdziałać w sprawie zmian klimatycznych, czego Bush był przeciwnikiem.
Jednym z poważnych problemów jest spadek pozycji USA w świecie. To jest odnotowywane wszędzie, może najmniej w Polsce z racji naszych proamerykańskich postaw. Obama przyrzekł, że przywróci prestiż Stanów Zjednoczonych.
Obama zapowiedział wycofanie wojsk amerykańskich z Iraku w ciągu 16 miesięcy od objęcia przez niego urzędu. Pozostawić ma tylko jednostki do ochrony placówki USA. Jednocześnie można oczekiwać większego zaangażowania wojsk USA w Afganistanie.
Obama w kampanii wyborczej wielokrotnie przypomniał, że od początku przeciwny był wojnie w Iraku. Irak nam nie zagrażał – mówił, a zaczęliśmy tam operację militarną. Źródłem terroryzmu był Afganistan i tam powinniśmy skierować nasze wojska po ataku terrorystycznym na USA 11 września 2001 r.
Tradycją Stanów Zjednoczonych jest, że wraz ze zmianą administracji zmienia się ok. 5 tysięcy stanowisk, choć nie wszyscy prezydenci korzystają z tego i przeprowadzają tak wielką wymianę kadr. Ale w tym wypadku nie będę zdziwiony, jeśli Obama skorzysta z wszystkich możliwości. A to dlatego, że jego sztandarowym hasłem jest change – zmiana, a to wiąże się nie tylko ze zmianą polityki, ale również ludzi odpowiedzialnych za jej prowadzenie. On uważa, że ludzie są po prostu owładnięci rutyną, że stracili wrażliwość na problemy przeciętnego Amerykanina. I to

wymaga daleko idących zmian personalnych.
Obama już kompletuje swoją ekipę. Już widać, że sięga po doświadczonych, sprawdzonych osób z administracji Clintona. Szefem personelu Białego Domu, bardzo wpływowego stanowiska, będzie Rahn Emanuel, bliski współpracownik Billa Clintona, znany kongresman z Chicago, z najbardziej polskiego okręgu wyborczego w tym mieście. Jest to skuteczny, twardy polityk, który ma przydomek „Rahmbo". Obama zapowiedział, że chciałby widzieć w swojej administracji również polityków republikańskich, co byłoby zgodne z jego postawą filozoficzną współpracy ponad podziałami partyjnymi.
Często spotykam się z pytaniem, który z obu kandydatów – Obama czy McCain byłby lepszy dla Polski? Uważam, że nie ma znaczenia dla Polski i dla stosunków naszych z USA, kto zasiądzie w Białym Domu 20 stycznia 2009 roku. A to dlatego, że stosunki polsko-amerykańskie oparte są na trwałych zasadach sojuszniczych. Są oczywiście problemy w tych stosunkach, ale ich zasady pozostają, niezależnie od tego, kto będzie 44. Prezydentem USA. W jednej sprawie może być różnica, w sprawie tarczy antyrakietowej.
Demokraci są sceptycznie ustosunkowani do budowy tej tarczy w Europie. Z kilku względów. Uważają, że technologia tego systemu antyrakietowego jest ciągle niedoskonała – połowa testów zakończyła się niepowodzeniem. Wobec tego mówią: zamiast ładować środki w budowę tych silosów gdzieś tam w Redzikowie, przeznaczmy je na ulepszenie technologii, by była w stu procentach sprawdzona. Wtedy budujmy te bazy w Europie. Po drugie Demokraci podkreślają: nikt Stanom Zjednoczonym obecnie nie zagraża. Bush mówi o państwach hultajskich i wymienia Iran, KRLD i Syrię. Żaden z tych trzech krajów nie posiada transkontynentalnych rakiet, które są w stanie dosięgnąć terytorium Stanów Zjednoczonych. Fachowcy twierdzą, że upłynie, co najmniej kilkanaście lat, zanim te kraje zdobędą takie rakiety.
Demokraci twierdzą też: musimy zmniejszyć deficyt budżetowy, handlowy, dług publiczny, który osiągnął horrendalny poziom ponad 10 bilionów dolarów. To jest niewyobrażalna suma, bo cały dochód narodowy USA wynosi 13 bln dol. rocznie. W związku z tym uważają, że trzeba więcej środków przeznaczyć na cele gospodarcze i społeczne, czyli należy szukać oszczędności. Źródłem ich niechęci do tarczy w Europie, jest przekonanie, że naraża ona stosunki z Rosją i zagraża nowym wyścigiem zbrojeń. Demokraci liczą się ze stanowiskiem Rosji, choć Kreml krytykują.
I ostatni powód: jeżeli prawdą jest to, co mówi Bush, że system antyrakietowy służyć ma bezpieczeństwu Europy, to niech Europa płaci za swoje bezpieczeństwo, dlaczego jego koszty maja ponosić Amerykanie! Mogą oni odłożyć w czasie realizację tarczy w Europie. Nie sądzę jednak, aby w ogóle z niej zrezygnowali.
W kampanii wyborczej Obama zrodził ogromne nadzieje na zmiany w Stanach Zjednoczonych. W końcowej fazie kampanii wyborczej nieco ostudził emocje i te nadzieje mówiąc, że proces zmian w USA nie będzie łatwy, raczej długotrwały i apelował o cierpliwość. Zrodził on jednak wielkie oczekiwanie i prawdopodobnie nie będzie w stanie wszystkich obietnic zrealizować. Może to wywołać rozczarowanie w społeczeństwie. W Ameryce bowiem jest mocno zakorzeniona ciągłość, kontynuacja polityki. Często porównuje się USA do wielkiego, ociężałego lotniskowca czy krążownika, który bardzo powoli zmienia kurs na lewo czy na prawo. Amerykanie i świat muszą więc uzbroić się w cierpliwość.

***Longin Pastusiak**, prof. dr hab. amerykanista, b. marszałek Senatu RP, wiceprzewodniczący SLD.*